

EROTICA

DZIEŁA KOBIET OD SAFO
DO MARGARET ATWOOD

ZREDAGOWANE PRZEZ
MARGARET REYNOLDS
z przedmową od
Jeanette Winterson

Fawcett Columbine
New York

Dla J., która tłumaczy.

I dla jasnych dni:
kiedy słońce gasi źrenice do rozmiaru szpilek
i ledwo udaje się nam widzieć

SPIS TREŚCI

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Angela Carter

Krwawa komnata (The Bloody Chamber)

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Rozkosz i ból są intymnie połączone. Oba sprawiają ciało boleśnie wrażliwym. W miłości, jak i w cierpieniu, nie może być miejsca na powstrzymywanie się, powściągliwość, tajemne miejsca. W swoim opowiadaniu Angela Carter mówi: 'jest pewne uderzające podobieństwo pomiędzy aktem miłości i machinacjami kata'.

Kat i ofiara, kochanka i ukochana – jeżeli one są sobie równoległe, to proponowana jest hierarchia w miłości. Połączenie pomiędzy rozkoszą i bólem jest wytworzone częściowo przez założenie związku bazującego na władzy. Według tegoż wzoru zawsze musi istnieć 'top' i zawsze musi istnieć 'bottom'. W naszej kulturze, kobieta jest zawsze 'bottomem', mężczyzna zawsze 'topem'. Ona jest ukochaną, ona jest ofiarą, on jest kochankiem, dzierżącym władzę. Kochanie jest czymś jej robionym, cierpienie jest tym, co robi.

Sadomasochistyczne wzorce heteroseksualnego erotyzmu są tak wszechobecne jak zgubne. Trudno jest już teraz oddzielić prawdziwą postać cichego kobiecego zezwolenia we wzorcu ofiary i kata. Wieki propagandy przekonują niektóre kobiety że podnieca je poddanie się. Wieki zakazów utrudniają innym kobietom do przyznania się do, albo postępowaniu zgodnie ze, swoim pożądaniem władzy.

Wyjątki w tej części muszą być czytane z ostrożnością. Pisarka anonimowej Greckiej pieśni miłosnej się boi; mówcom w wierszach Rosetti i Dickinson niejasno grozi się gwałtem; Benedetta Carlini wyobraża siebie torturowaną i bitą (jak również zamężną). Ale nie powinno to sugerować że charakterystyka erotycznego życia kobiet nieuchronnie i 'naturalnie' zawiera lęk, zgodę na gwałt, czy pragnienie bycia pobitymi. Co za to pokazuje, to jak przekonująco i bezustannie te elementy są wmuszane w życia kobiet. Tak bardzo że, w końcu, stają się nierozzerwalną częścią ich płciowej

egzystencji.

Ciche przyzwolenie jest niebezpieczne. Dla Margaret Watson i Jean Lachlan, skazanych za czary w 1645, było śmiertelne. Protokoły zeznania Watson ujawniają przyjmowanie przezeń bierności kiedy 'całkowicie oddaje duszę swą oraz ciało swe Szatanowi we władanie'. Przez powiedzenie jej o mocy płciowej ('...ukazał się o lasce, za pierwszym razem jako czarny mąż i schwycił pobliskiego łuszczyka po czym cielesnie zeń obcował'), Watson stała się poddaną innej mocy – państwa.

Śmierć jest najekstremelniejszym z końców płciowej usługowości. Strata indywidualności jest ceną trochę tylko niższą. W wierszu Stevie Smith 'piękna pani' zanurza się w swojej fantastycznej kochance. W tekście Monique Wittig Ganimedeja jest zachwycona przez piorunującą moc Zeyny, W opowiadaniu Charlotte Mew autorytet kościoła równa władzy erotycznej oddawanej mężczyznom przez kobiety. Ella jest na swoim miesiącu miodowym kiedy jest świadkiem ofiarowania kobiety. Widowisko zostawia ją 'w rozsypce'; jej brata za to pozostawia rozradowanego, podziwiającego 'ciche przystanie na dosyć wspaniałą zbrodnię' martwej kobiety.

Czy kobieta w opowiadaniu Mew była chętna? Bajka Angeli Carter kontynuuje pytanie współudziału kobiety. Kiedy jej bohaterka zakłada rubinowy naszyjnik zauważa odbicie koneserskiego pożądania w oczach swojego męża. Rozpoznaje własną 'możliwość deprawacji'. Kiedy on, kompletnie ubrany, bada jej nagość ('najpornograficzniejsza z konfrontacji') bohaterka znowu widzi się jego oczami i, 'przeraziłam się mojego nagłego poruszenia'. Na końcu opowiadania jest ratowana. Ale musi nosić plamę swojego wstydu, swojego współudziału, swojego cichego zezwolenia, przez resztę swojego życia.

'Krwawa komnata' podejmuje konwencje sadomasochizmu żeby rozprawić się z ich implikacjami z feministycznej perspektywy. Dwa inne zawarte tu teksty, mimo pochodzenia ze znacznie różnych okresów historycznych, sugerują możliwość roli płciowej kobiety

niebędącej tylko tą ofiary.

'Les Deus Amanz' zaczyna się wykorzystywaniem księżniczki przez jej ojca; ona 'pocieszała go od kiedy stracił królową. Wielu mu to wyrzucało...'. W swoim związku z kochankiem jej sytuacja gmatwa się jeszcze bardziej. Dalej wydaje się być ofiarą (pości, jest prawie naga, musi być noszona), ale w trakcie próby jej siła rośnie. Księżniczka jest dosłownie na górze. Pozostaje silna i mądra rozpoznając granice wytrzymałości. Ale jej kochanek męczy się i pochopnie upiera się przy swojej własnej sile. Operając się wnioskiem że nie jest dość męski, nie wypije ożywiającej mikstury. W rzeczywistości, kochanek umiera z nadmiaru męskości.

Kobiety Pata Califii w ogóle pozbyły się mężczyzn. W 'Pucharze Izidy' konwencje 'topu' i 'bottomu' są zachowane, ale faktycznie podkopane poprzez wyzwolenie ich z niewoli heteroseksualizmu. Władza zmienia dłonie. Kat jest kwestionowany. Wzorzec roztrzaskuje się.

Angela Carter

Krwawa komnata (The Bloody Chamber)

()

Jedna z wersji opowieści o Sinobrodym ze zbioru rewizjonistycznych baśni, z których ta jest powieścią tytułową.

Pamiętam jak, tamtej nocy, leżałam z otwartymi oczami w wagonie –oświetlona czułą, pyszną ekstazą podniecenia, płonącym policzkiem wciśniętym w nieskazitelne płótno poduszki, i łomotem serca naśladującym to potężnych tłoków nieustannie pracujących niosący mnie poprzez noc, z dala od Paryża, z dala od dziewczęctwa, z dala od białej, zamkniętej ciszy apartamentu mojej matki, prosto w nieodgadnioną krainę małżeństwa pociąg.

I pamiętam jak czule wyobrażałam sobie jak, w tym właśnie momencie, moja matka przechadzała się powoli po wąskiej sypialni, którą zostawiłam na zawsze, składając i odkładając moje relikwie, już mi niepotrzebne pomięte ubrania, nuty które nie pomieściły się w kufrach, porzucone programy koncertowe, zwlekając nad podartą wstążką i tą zblakłą fotografią z tymi wszystkimi pół-radosnymi pół-żałosnymi emocjami matki w dniu ślubu jej córki. I, pośrodku ślubnego triumfu, poczułam ukłucie straty jakbym, kiedy on nasadził złotą obrączkę na mój palec, przestała być jej córką stając się jego mężem.

Jesteś pewna, powiedziała, kiedy dostarczono gigantyczne pudło zawierające suknię ślubną którą mi kupił, zapakowaną w bibułę i czerwoną wstążkę, jak świąteczny prezent krystalizowanych owoców. Jesteś pewna, że go kochasz? Była tam suknia i dla niej; czarny jedwab, z matowym, pryzmatycznym połyskiem oleju na wodzie, piękniejsza od czegokolwiek, co nosiła od pełnego przygód

dzieciństwa w Indochinach jako córka bogatego plantatora herbaty. Moja niezłomna matka o orlich rysach; która inna studentka Konserwatorium mogła pochwalić się, że jej matka rozprawiła się z pełną dżonką chińskich piratów, przepielęgnowała wioskę przez odwiedzinę dżumy, zastrzeliła z własnej dłoni ludożernego tygrysa, i wszystko to zanim była w moim wieku?

‘Jesteś pewna, że go kochasz?’

‘Jestem pewna, że chcę go poślubić’, powiedziałam.

I nie mówiła już nic więcej. Wzdechnęła, jakby z niechęcią odganiała w końcu widmo ubóstwa z jego zwyczajnego miejsca przy naszym skromnym stole. Ponieważ moja matka sama z siebie chętnie, skandalicznie, buntowniczo zebrała za miłością; i, pewnego pięknego dnia, jej waleczny rycerz już nie powrócił z wojen, pozostawiając swojej żonie i dziecku spadek z łez które nigdy do końca nie schły, pudełko od cygar pełne medali i antyczny służbowy rewolwer który moja matka, stając się wspaniale ekscentryczna w trudnościach, zawsze miała w torebce, na wypadek, gdyby – jak sobie z niej kpiłam – zaskoczyli ją rozbójnicy w drodze do domu z zakupami.

Od czasu do czasu eksplozja świateł uderzała w zaciągnięte żaluzje, jakby na rozkaz kompanii kolejowej pozaświecano na cześć panny młodej wszystkie światła na każdej stacji. Moja atlasowa koszula nocna dopiero co została wytrzęsiona z opakowania; nasunęła się na moje młode zadarte piersi i ramiona, miękka, jakby z ciężkiej wody, i teraz pieszczotliwie laskotała mnie, skandaliczna, przymilna, głaskając mnie między udami kiedy przewracałam się niespokojnie po wąskiej koi. Jego pocałunek, jego pocałunek z językiem, zębami, i drapnięciem brody, wskazywał mi, choć z takim samym znakomitym taktem jak ta dana mi koszula, na noc poślubną, która była zmysłowo wstrzymana aż nie położymy się w jego potężnym rodowym łóżu w otoczonej morzem fortecy leżącej, dalej, poza zasięgiem mojej wyobraźni ... to magiczne miejsce, bajkowy zamek ze ścianami z piany, to legendarne domostwo w

którym się urodził. Na które, pewnego dnia, mogę urodzić dziedzica. Nasze miejsce przeznaczenia, moje przeznaczenie.

Poprzez nierówny ryk pociągu słyszałam jego równy, spokojny oddech. Tylko wewnętrzne drzwi oddzielały mnie od mojego męża, a były one otwarte. Uniosłam się na łokciu, widziałam ciemny, lwi kształt jego głowy, a moje nozdrza schwyciły powiew bogatej męskiej woni skóry i przypraw która zawsze mu towarzyszyła, i, czasami, podczas jego zalotów, była jedyną daną mi wskazówką, że wszedł do salonu mojej matki, bo, mimo bycia roslým mężczyzną, poruszał się miękko, jakby wszystkie jego buty były podbite aksamitem, jakby jego kroki zamieniały dywan w śnieg.

Uwielbiał zaskakiwać mnie w mojej roztargnionej samotności przy pianinie. Mówił służbie żeby go nie zapowiadała, po czym bezgłośnie otwierał drzwi i łagodnie podkradał się do mnie od tyłu z bukietem kwiatków cieplarnianych albo pudełkiem marron glacés, kładł podarunek na klawiszach i zakrywał mi dłońmi oczy kiedy ja byłam zagubiona w preludium Debussy'ego. Ale ta perfuma z przyprawionej skóry zawsze go zdradzała; po pierwszym szoku, byłam zmuszona zawsze udawać zaskoczenie, żeby się nie zawiódł.

Był ode mnie starszy. Był ode mnie dużo starszy; pasma czystego srebra przenikały jego ciemną grzywę. Ale jego dziwnej, ciężkiej, prawie woskowo bladej twarzy nie zaorało doświadczenie. Raczej, doświadczenie wydawało się wymyć ją na perfekcyjną gładź, jak kamień na plaży, którego szczeliny zerodowały kolejne pływy. I czasami ta twarz, nieruchoma kiedy słuchał jak gram, z ciężkimi powiekami zakrywającymi oczy niepokojące mnie ich absolutnym brakiem światła, wydawała mi się maską, jakby jego prawdziwa twarz, twarz prawdziwie oddająca wszystkie życie, które wiódł w szerokim świecie zanim mnie spotkał, zanim, nawet, się urodziłam, jakby ta twarz leżała pod tą maską. Albo i gdzie indziej. Jakby odłożył gdzieś twarz w której żył tak długo żeby zaoferować mej młodości twarz na której nie zapisały się te lata.

I, gdzie indziej, może zobaczę go otwartego. Gdzie indziej. Ale,

gdzie?

W, być może, tym zamku pod który pociąg nas właśnie zawiózł, tym cudownym zamku w którym się narodził.

Nawet, kiedy mi się oświadczył, a ja się zgodziłam, dalej nie stracił tego swojego ciężkiego, mięsistego opanowania. Wiem, że taka analogia może wydawać się dziwaczna, człowieka z kwiatem, ale czasami wydawał mi się jako lilia. Tak. Lilia. Opętany tym dziwnym, złowrogim spokojem świadomego warzywa, jak jedna z tych kobrogłowych pogrzebowych lilii których płatki wywijają się z ciała tak grubego i z napięciem ustępującego dotykowy jak welin. Kiedy powiedziałam, że go poślubię, nie drgnął na jego twarzy ani jeden mięsień, a tylko wydał z siebie długie przytłumione westchnienie. Pomyślałam: Och! jakże on musi mnie chcieć! I wydawało mi się że nieogarniony ciężar jego pożądania był siłą której mogę nie być w stanie się oprzeć, nie przez jej gwałtowność, ale przez jej istną powagę.

Pierścionek miał przygotowany w skórzanym puzderku wyłożonym karmazynowym aksamitem, ognisty opal rozmiaru gołębiego jaja osadzony w skomplikowanej otoczce z ciemnego, antycznego złota. Moja stara opiekunka, która dależ żyła z moją matką i mną, przypatrzyła się z ukosa przez przymrużone powieki: opale są peszne, powiedziała. Ale ten opal był pierścieniem jego własnej matki, i babki, i jej matki przed tym, przekazany przodkowi przez Catherine de' Medici ... nosiła go każda panna młoda przyjeżdżająca do zamku, bez względu na czasy. Czy więc dał je swoim innym żonom po czym go im odebrał? zapytała niegrzecznie starsza kobieta; mimo to była snobem. Schowała swą niedowierzania pełną radość moim małżeńskim osiągnięciem – jej malutka Markiza – za fasadą szukania dziury w całym. Ale, tutaj, dotknęła mnie. Wzruszyłam ramionami i małostkowo odwróciłam się do niej plecami. Nie chciałam przypominać sobie że kochał przede mną inne kobiety, ale ta wiedza często dokuczała mi w przetartej pewności siebie godzin porannych.

Miałam siedemnaście lat i nie wiedziałam o świecie nic, mój Markiz był już wcześniej żonaty, więcej niż raz, i dezorientowało mnie, że po tych innych miałby wybrać mnie. Ba, czyż nie był dalej w żałobie po swojej ostatniej żonie? Moja stara niania zacmokała z niezadowoleniem. A i nawet mojej matce nie podobało się, że jej córka jest zabierana przez kogoś tak niedawno osamotnionego. Rumuńska hrabina, dama wysokiej mody. Martwa tylko trzy krótkie miesiące zanim go spotkałam w wypadku przy przejeździe łodzią, w jego domu, w Bretanii. Nigdy nie znaleźli jej ciała ale poszperałam trochę w starszych kopiach magazynów klubowych opiekunki w kufrze pod jej łóżkiem i wytropiłam jej fotografię. Ostry pysk ładnej, dowcipnej, niegrzecznej małpki; taki potężny i dziwaczny urok, ciemnej, jasnej, dzikiej ale światowej rzeczy której naturalnym środowiskiem musiała być dżungla jakiegoś luksusowego dekoratora wnętrz wypełniona roślinami doniczkowymi i oswojonymi, skrzeczącymi papużkami.

Przed tem? Jej twarz jest powszechną własnością; malował ją każdy, ale najbardziej podobał mi się sztych Redona, *Wieczorna gwiazda idąca brzegiem nocy*. Widząc jej szkieletową, enigmatyczną grację, nikt nie pomyślałby że była barmanką w kawiarni w Montmartre dopóki Puvis de Chavannes dostrzegł ją i wyeksponował jej płaskie piersi i wydłużone uda działaniem swojego pędzla. Koniec końców zgubił ją absynt, a przynajmniej tak mówiono,

A pierwsza z dam? Okazała diwa; słyszałam, jak śpiewała Izoldę, ponad wiek muzycznie rozwinięte dziecko jakim byłam, wzięte do opery w ramach urodzinowej niespodzianki. Moja pierwsza opera; słyszałam, jak śpiewała Izoldę. Z jakąż do białości rozgrzaną pasją płonęła ze sceny! Widać było, że młodo umrze. Siedzieliśmy wysoko, w pół drogi do nieba, u szczytu widowni, a mimo to mnie oślepiła. I mój ojciec, żyjący jeszcze (och, tak dawno temu), chwycił moją małą lepką łapkę, żeby mnie pocieszyć, w ostatnim akcie, ale jedynym co słyszałam była wspaniałość jej głosu.

Ożeniony trzykrotnie za mojego krótkiego życia z trzema różnymi wdziękami, a teraz, jakby demonstrując eklektyzm swojego gustu, zaprosił mnie do dołączenia do jego galerii pięknych kobiet, mnie, dziecko biednej wdowy z moimi mysimi włosami dalej noszącymi ślady splotu z którego tak niedawno zostały uwolnione, moimi kościstymi biodrami, moimi nerwowymi palcami pianistki.

Był bogaty jak Krezus. Noc przed naszym ślubem – prosta celebracja w ratuszu bo hrabina odeszła tak niedawno – wziął moją matkę i mnie, dziwnym zbiegiem wypadków, na *Tristana*. Serce tak urosło mi, tak mnie bolało podczas Liebestod że myślałam że prawdziwie go kochałam. Tak, kochałam. Idąc z nim pod rękę, wszystkie oczy patrzyły się na mnie. Szepczący tłum w foyer rozstał się jak morze czerwone by nas przepuścić. Skóra płonęła mi pod jego dotykiem.

Jakże moja sytuacja się zmieniła od ostatniego razu kiedy słyszałam te zmysłowe akordy niosące w sobie taki ładunek śmiertelnej pasji! Teraz, siedzieliśmy w łoży, w fotelach obitych czerwonym aksamitem, a wyszczekany pacholek przyniósł nam srebrne wiadro mrożonego szampana podczas przerwy. Piana wyrosła ponad brzeg mojego kieliszka i rozlała po dłoniach, pomyślałam: kielich mój przelewa się. I byłam w sukni od Poireta. Nakłonił moją niechętną matkę żeby pozwoliła mu kupić mi moją wyprawkę ślubną; w czymż innym pojechałabym do niego, w przeciwnym wypadku? Dwukrotnie już cerowanej bieliźnie, wyblakłej kraciance, serżowych spodnicach, „dziedzicznych” szmatach. Więc, do opery, włożyłam pofalowaną halkę z białego muślinu zawiązaną białą jedwabną wstążką pod piersiami. I wszyscy się na mnie gapili. I na jego prezent ślubny.

Jego prezent ślubny, ściskający moją krtąń. Ciasny rubinowy naszyjnik, szeroki na dwa cale, jak nadzwyczajnie cenne poderżnięte gardło.

Po Terrorze, we wczesnych dniach Dyrektoriatu, arystokraci uciekli gilotynie oddali się przelotnej modzie wiązania czerwonej

wstążki wokół szyi w tym dokładnie punkcie w którym przecięłoby ją ostrze, czerwona wstążka jako wspomnienie rany. Jego babka, porwana ideą, przygotowała sobie wstążkę z rubinów, jakież akt luksusowego buntu! Tamten wieczór w operze powraca do mnie nawet teraz ... biała suknia, to weń wątle dziecię, i błyszczące karmazynowe klejnoty wokół jego gardła, jasne jak krew tętnicza.

Widziałam jak oglądał mnie w złożonych lustrach krytycznym wzrokiem konesera kontrolującego końskie ciało, albo wręcz gospodyni na targu, przeglądającej płaty mięsa na ladzie. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, a przynajmniej nie zwróciłam uwagi na to jego spojrzenie, jego czystą cielesną chciwość; i w dziwny sposób wzmacniał ją monokl zatknięty w jego lewym oku. Kiedy zauważyłam z jakim pożądaniem na mnie patrzył, opuściłam wzrok, ale, odwracając go od niego, złapałam mój obraz w lustrze. I zobaczyłam się, nagle, tak jak on mnie widział, moją bladą twarz, sposób, na który mięśnie mojego karku wystawały jak cienki drut. Zauważyłam jak bardzo ten okrutny naszyjnik stał się mną. I, po raz pierwszy w moim niewinnym i ograniczonym życiu, wyczułam w sobie możliwość deprawacji, która odebrała mi oddech.

Następnego dnia, wyszliśmy za siebie.

Pociąg zwolnił, zatrząsł się, zatrzymując. Światła; brzęk metalu; głos oznajmiający nazwę nieznanej, nigdy nieodwiedzanej stacji; nocna cisza; rytm jego oddechu, z którym winnam spać, od teraz, przez resztę mojego życia. Ale zasnąć nie mogłam. Ukradkiem usiadłam, odrobinę uniosłam żaluzję i przycisnęłam do zimnego okna, zaciągnętego parą mojego ciepłego oddechu, wyglądając na ciemną platformę, w stronę domowych prostokątów lamp obiecujących ciepło, towarzystwo, kiełbaski na kolację syczące w patelni na kuchence naczelnika, jego dzieci otulone, śpiące, w łóżku w ceglanym domu z malowanymi okiennicami ... wszelkie akcesoria świata codziennego z którego ja, moim oszałamiającym ślubem, się wygnałam.

W małżeństwo, w wygnanie; czułam to, wiedziałam to – że, od teraz, będę wiecznie samotna. Ale była to część znajomego mi już ciężaru ognistego opalu migoczącego niczym cygańska magiczna kula, aż nie mogłam odciągnąć od niej wzroku kiedy grałam na pianinie. Pierścień, krwawy bandaż rubinów, garderoba ubrań od Poireta i Wortha, jego aromat rosyjskiej skóry – wszystkie sprzysięgły się by uwieść mnie tak zupełnie, że nie mogłam powiedzieć, żebym czuła choćby jedną igłę żalu dla oddalającego się ode mnie niczym ciągnętego na sznurku, jak dziecięca zabawka, śwata tartinek i mamus, gdy pociąg znowu zaczął warczeć jakby w zachwyconej niecierpliwości odległości na którą mnie zabierze.

Pierwsze szare promienie poranka zajęły niebo, nasączając wagon nieziemskim półświatłem. Nie usłyszałam zmiany w jego oddechu, ale moje wyostrzone zmysły powiedziały mi, że się obudził i patrzy na mnie. Ogromny człowiek, potężny człowiek, z jego oczami, ciemnymi i nieruchomymi jak oczy malowane przez starożytnych Egipcjan na sarkofagach, wbitymi we mnie. Poczułam pewne napięcie w dołku, być tak obserwowaną, w takiej ciszy. Zaskwierczała zapalka. Rozpalał Romea i Julię tłustą jak dziecięca ręka.

‘Wkrótce’, powiedział swoim donośnym jak bicie dzwonu głosem, i poczułam, na raz, ostre przeczucie strachu trwające tylko tak długo, jak ogień zapalki i jego biała, szeroka twarz była widoczna, jakby się unosiła, pozbawiona ciała, ponad pościelą, oświetlona od dołu jak groteskowa karnawałowa głowa. Potem płomień zgasł, a cygaro rozjarzyło się, wypełniając przedział pamiętnym zapachem, który przywołał myśli o moim ojcu, jak mnie przytulał w ciepłym zaduchu Havany, kiedy byłam małą dziewczynką, zanim mnie pocałował i opuścił i umarł.

Poczułam owodniowe zasolenie oceanu jak tylko mój mąż podał mi rękę schodząc z wysokiego stopnia pociągu. Był listopad; drzewa, skarłowaciałe atlantyckimi wichurami, były nagie, a samotny przystanek opuszczony, nie licząc jego skórzanogetrowego szofera

czekającego potulnie przy eleganckim czarnym aucie. Było zimno; zaciągnęłam na sobie futra, czarno-białą pelerynkę, szerokie pasy gronostajów i soboli, z kołnierzem, z którego wyrastała moja głowa niczym kielich polnego kwiatu. (Przysięgam, nigdy nie byłam próżna, zanim go spotkałam.) Dzwon zadzwieczał; pociąg z wysiłkiem wyrwał się ze smyczy i zostawił nas na tej samotnej przydrożnej stancy, na której zeszliśmy tylko ja i on. Och, cóż za cud; cała ta potęga żelaza i pary zatrzymała się tylko by przypasować jego wygodzie. Najbogatszemu człowiekowi we Francji.

‘Madame.’

Szofer mi się przypatrywał; czy porównywał mnie, krzywdząco, z hrabiną, modelką artysty, śpiewaczką operową? Schowałam się za futrami jakby były układem miękkich tarcz. Mój mąż chciał, żebym nosiła mój opał na dziecięcej rękawiczce, w ostentacyjnej, teatralnej sztuczce – ale z momentem, gdy ironiczny szofer zobaczył w przelocie jego wzburzony błysk uśmiechnął się, jak gdyby był on pewnym dowodem, że jestem żoną jego pana. I pojechaliśmy w kierunku rosnącego świtu, teraz malującego połowę nieba w bukiet zimowego różu róż, pomarańczowych lilii tygrysich, jakby mój mąż zamówił mi niebo u kwiaciara. Dzień przełamał się wokół mnie niczym chłodny sen.

Morze; piasek; niebo wtapiające się w morze – krajobraz mglistych pastelii sprawiający wrażenie nieustannego topnienia. Pejzaż wszystkich rozplywających się harmonii Debussy'ego, z etiud które dla niego grałam, rêverie którą grałam tego wieczoru w salonie księżniczki gdzie spotkałam go po raz pierwszy, wśród filiżanek i ciastek, ja, sierota, wynajęta z litunku, by napęlić ich trawienne kielichy muzyką.

I, ach! jego zamek. Jego wróżebna samotność; z wieżyczkami mgielnego błękitu, dziedzińcem, okolczoną bramą, jego zamek leżący w samym łonie morza z ptakami morskimi skrzeczącymi wokół jego strychów, oknami wyzierającymi na zielone i fioletowe,

zanikające występy oceanu, odcięte od lądu przez pływy przez pół dnia ... ten zamek, nie pasujący ni na lądzie ni na wodzie, tajemnicze, amfibijne miejsce, naruszające materialność zarówno ziemi jak i fal, z melancholią syreny przysiadającej na swoim głazie i czekającej, nieskończenie, na kochanka, który utonął daleko stąd, dawno temu. To śliczne, smutne, syrenie miejsce!

Był odpływ; o tej godzinie, tak wczesnym rankiem, grobla wynurzała się z morza. Gdy auto skręcało na mokry bruk między powolnymi brzegami wody, sięgnął po moją dłoń z jego dusznym, wieźmim pierścieniem, ścisnął moje palce, pocałował ją z niezwykłą czułością. Jego twarz była tak nieruchoma jak ją kiedykolwiek widziałam, nieruchoma jak grubo przemarznięty staw, ale jego wargi, które zawsze były tak obco czerwone i nagie między czarnymi frędzlami jego brody, teraz się troszkę wykrzywiły. Uśmiechnął się; witał swoją pannę młodą w domu.

Nie było pokoju, nie było korytarza, który nie szumiał odgłosami morza, a wszystkie sufity, ściany, na których jego przodkowie w surowych insygniach swych rang wisieli w szeregu z ich ciemnymi oczami i białymi twarzami, były tepowane załamany światłem wiecznie ruckomych fal; ten świetlisty, szemrzący zamek, którego kasztelanką byłam teraz ja, ja, malutka studentka muzyki której matka sprzedała całą swoją biżuterię, nawet swoją obrączkę ślubną, by zapłacić chesne Konserwatorium.

Przede wszystkim, przyszła niewielka próba mojego początkowego wywiadu z gospodynią, która pozwalała tej nadzwyczajnej maszynie, temu zakotwiczonemu zamkowemu transatlantykowi, gładko pracować niezależnie od tego, kto stał na mostku; jak słaby, pomyślałam, musi być tutaj mój autorytet! Miała nijaką, bladą, beznamiętną, zniechęcającą twarz poniżej regionalnego nienagannie wykrochmalonego płóciennego przybrania głowy. Jej powitanie, poprawne ale bez życia, zmroziło mnie; w marzeniach ośmieliłam się przeliczyć mój status ... krótko rozważyłam, jak mogłabym zainstalować tutaj moją starą

opiekunkę, tak kochaną, jakkolwiek przytulnie niekompetentną, na jej miejsce. Nieprzemyślana intryga! Powiedział mi, że ona była jego przybraną matką; była przywiązana do jego rodziny w najgłębszym feudalnym uwikłaniu, będąc 'tak bardzo częścią zamku jak ja, moja droga'. Teraz jej cienkie wargi oferowały mi niewielki dumny uśmiech. Będzie moim sojusznikiem, dopóki ja będę jego. To wiedząc, musiałam być ukontentowana.

Ale, tutaj, łatwo będzie być ukontentowaną. W apartamencie w wieży który przeznaczył dla mnie na własność, mogłam wyrzeć na burzliwy Atlantyk i wyobrazić siebie jako Królową Morza. W pokoju muzycznym czekał na mnie Bechstein, i, na ścianie, kolejny prezent ślubny – wczesny flamandzki prymityw świętej Cecylii przy swoich niebiańskich organach. W sztywnym uroku tej świętej, z jej pulchnymi, ziemistymi policzkami i falowanymi brązowymi włosami, widziałam siebie taką, jaką chciałam być. Ogrzałam się przy pełnej miłości wrażliwości o którą go dotychczas nie podejrzewałam. Potem wprowadził mnie po delikatnych spiralnych schodach do mojej sypialni; zanim dyskretnie znikła, gospodyni wprawiała go w chichot jakimś zapewne lubieżnym błogosławieństwem dla nowożeńców w ich ojczystym bretońskim. Którego nie zrozumiałam. Którego on, z uśmiechem, odmówił przetłumaczyć.

I tam leżało okazałe, dziedziczne małżeńskie łóżce, samo w sobie rozmiaru, prawie, mojego małego pokoiku w domu, z gargulcami wyrzeźbionymi w jego ebonitowych powierzchniach, cynobrowym lakierem, złoceniami; i zasłonami z białej gazy, kłębiącymi się na morskim wietrzyku. Nasze łóżce. I otoczone tyloma lustrami! Lustro na ścianach, w majestatycznych ramach z giętego złota, odbijające więcej białych lilii niż widziałam kiedykolwiek wcześniej. Wypełnił nimi pokój, by przywitać pannę młodą, młodziutką pannę młodą. Młodziutką pannę młodą, która stała się tą rzeszą dziewcząt którą widziałam w lustrach, identycznych w swoich modnych granatowych szatach na miarę, do podróżowania, madame, lub

chodzenia. Pokojówka rozprawiła się z futrami. Odtąd, pokojówka rozprawiać się będzie ze wszystkim.

‘Widzisz,’ powiedział, gestykulując w stronę tych eleganckich dziewcząt. ‘Pozyskałem dla siebie cały harem!’

Zauważyłam, że drzę. Mój oddech stał się ciężki. Nie mogłam spojrzeć mu w oczy i odwróciłam głowę, z dumy, z niśmiałości, i oglądałam tuzin mężów podchodzących do mnie w tuzinie luster i powoli, metodycznie, dokuczliwie, rozpinających guziki mojego żakietu i zsuwających go z moich ramion. Dość! Nie; więcej! Spada spódnica; i, dalej, bluzka z morelowego płótna kosztująca więcej niż suknia którą miałam na pierwszą komunię. Gra fal na zewnątrz w zimnym słońcu zabłyszczała w jego monoklu; jego ruchy zdawały się celowo szorstkie, wulgarne. Krew znowu uderzyła mi do twarzy, i została tam.